

Adam Lizakowski

Czy poeta Czesław Miłosz był kosmitą?

(12)



Fot. Andrzej Dębkowski

Początki mojej przygody z twórczością Czesława Miłosza

Swoją przygodę z twórczością Czesława Miłosza, która w znacznym stopniu wpłynęła na moje życie, (jeśli mogę tak powiedzieć), podzieliłbym na trzy części. Będąc jeszcze w Pieszcach, pod koniec lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku odkryłem Miłosza jako tłumacza poezji z języka angielskiego. Przede wszystkim zafascynowały mnie jego przekłady poezji Walta Whitmana i poezji amerykańskiej. Później, gdy poeta otrzymał Literacką Nagrodę Nobla w 1980 roku, nadszedł czas na jego poezję. Trzecia faza przypada na czas mojej emigracji, kiedy to amatorsko zająłem się fotografią, którą nigdy się nie interesowałem, ale zawsze chciałem mieć kilka zdjęć z „Wielkim Poetą”. Niestety, zdjęć zrobionych razem z poetą mam niewiele, gdyż większość naszych spotkań odbywała się prywatnie w jego domu. Są też zdjęcia autora *Roku Myśliwego*, zrobione moim tanim aparatem fotograficznym podczas spotkań poetyckich w Berkeley lub na terenie San Francisco Bay Area.

San Francisco, listopad 1984

Po raz pierwszy na własne oczy zobaczyć poetę Czesława Miłosza jesienią 1984 roku w San Francisco, w jednym z teatrów przy Haight Street blisko skrzyżowania z ulicą Van Ness. Było to spotkanie poetyckie organizowane przez Amnesty International w dowód solidarności z politycznymi więźniami, twórcami, intelektualistami mieszkającymi w Pakistanie. Wzięło w nim udział wiele sław

poetyckich, m.in. Josef Brodski.

Rosyjskiego poetę Josefa Brodskiego zapamiętałem z wielu względów. Z jego poezją zetknąłem się, czytając „Literaturę na Świecie”, będąc jeszcze w Pieszcach. Teraz po tylu latach miałem okazję zobaczyć poetę na własne oczy, podać mu rękę w korytarzu w czasie przerwy i podziękować za wspaniałą recytację wierszy. Brodski, jako jedyny z czytających, nie nalał sobie wody do szklanki, ale pił ją prosto z kryształowego dzbanka. Zachowywał się na pełnym luzie, nawet żartował z publicznością, a ta żywo reagowała na jego zabawne komentarze. Woda kapłała mu po brodzie, którą ocierał rękawem. Brodski nie czytał swoich wierszy, on je śpiewał po rosyjsku. Nie widziałem nigdy kogoś, kto by tak pięknie i melodyjnie interpretował swoje wiersze. Autor wiersza „24 grudnia 1971 roku” był ekspresyjny i nie do podrobienia! Poeta śpiewający swoje wiersze niczym natchniony anioł – jakie to rzadkie dzisiaj zjawisko.

Miłosz czytał poezję po angielsku bardzo sztywno, stwarzał wrażenie człowieka niezwykle poważnego, nawet człowieka, ale i on próbował swoimi mini komentarzami rozbawić, czy rozprężyć zebraną publiczność. Dopiero na końcu swojego wystąpienia przeczytał jeden z wierszy po polsku, na wyraźne życzenie publiczności, która wręcz domagała się usłyszenia ich w oryginale. Czytał pięknie melodyjnym głosem, akcentując polskie samogłoski, za co otrzymał rzesiste brawa od zgromadzonych. Po zakończeniu spotkania wraz z kilkoma rosyjskimi znajomymi podszedłem do niego, aby pogratulować i podziękować za piękną poezję. Przy okazji poeta podpisał mi swoją książkę pt. *Rodzinną Europę*, zamieniliśmy dosłownie kilka słów po polsku, nic więcej.

Miłosz uchodził wśród Amerykanów zaraz po otrzymaniu Nagrody Nobla i powstaniu Solidarności za symbol *freedom fighter* z jednej strony, a z drugiej strony za tłumacza Biblii (gdy to mówiłem Amerykanom, pytali się, co to znaczy tłumacz Biblii?). Jako poeta poza akademią wydziałów slawistyki i kilkoma redakcjami pism o profilu literackim w Ameryce i w Europie był prawie nieznany. A o międzynarodowej nagrodzie The Neustadt International Prize for Literature, którą otrzymał w 1978 roku w Ameryce mało kto słyszał, i jej popularność w porównaniu choćby z Nagrodą Pulitzera była / jest znikoma. Na spotkania autorskie naszego poetę nie przychodzili poeci amerykańscy znad Zatoki San Francisco, tak samo jak on nie chodził na spotkania, czy wieczory poetów amerykańskich. Nie było pomiędzy nimi ani serdeczności, ani zażyłości. Wiedzieli o swoim istnieniu, ale dla Miłosza byli lewakami, pseudo socjalistami, nawet anarchistami niż partnerami do rozmów. Oni Miłosza uważali za przybysza z innej planety, o której niewiele wiedzieli i chcieli wiedzieć. Wszystkie informacje o niej były im przekazywane poprzez filtry propagandy ZSRR. Miłosz patrzył na tych marksistów siódmej wody z dozą wyższości i z przekonaniem, że te ich „wygłupy” niewiele mają wspólnego z literaturą. Był wobec nich nieufny, wołał ich unikać niż się z nimi spotykać. W wolne chwile

wsiadał w samochód, brał rodzinę i „pru” setki mil czy to do Doliny Śmierci, czy do lasów drzew liczących sobie ponad dwa tysiące lat, czy wzdłuż wybrzeża Pacyfiku. Nie zapomniał ani na chwilę o swojej europejskości i porównywał góry, kaniony, skały, drzewa do europejskich kościołów, katedr i innych budowli. Swoje przemyślenia, doznania, spostrzeżenia wykorzystywał w twórczości, stąd też brał się podziw jego studentów, tłumaczy, którzy bardzo go sobie cenili, którzy uważali, że bycie studentem tego erudyty to wielki zaszczyt.

Polak religijny w Ameryce?

Miłosz poeta, tłumacz Pisma Świętego, czy „poetycki prorok”, swoimi wierszami „zapalił zielone światło” do przemian społecznych w Polsce. To dzięki niemu, Zbigniewowi Brzezińskiemu, Solidarności i papieżowi Janowi Pawłowi II Amerykanie dowiedzieli się, gdzie jest Polska, gdzie jej szukać na mapie. Polityk Brzeziński świetnie spisał się na polu polityki, Solidarność pokazała światu, że jest szansa na to, aby wolne związki zawodowe miały udział w decydowaniu o tym, co dzieje się w kraju. Papież – Polak, ten przekonał Amerykanów, że polski katolicyzm to nie tylko niedzielne poranne msze święte, po których rodacy idą na popołudniowy rosół do domów, a wieczorem „zalewają robaka”, aby zapomnieć o tym, że już w poniedziałek trzeba wstać o piątą rano do roboty. Polacy, będący największą grupą katolików w Ameryce, mieli, na setki polskich parafii, tylu biskupów, że można ich było policzyć na palcach jednej ręki. Polskimi duszami i wcale nie małymi ofiarami na kościół rządili biskupi pochodzenia irlandzkiego, niemieckiego, czy włoskiego. Ksiądz Polak co najwyżej mógł być proboszczem – łącznikiem pomiędzy masą analfabetów a księżętami kościoła. Polacy za własne pieniądze budowali kościoły, szkoły, plebanie, ale nieruchomości te nigdy nie były w polskich rękach, zarządzali nimi przeważnie niemieccy biskupi. To biskup decydował, ile może być mszy w kościele, w których godzinach i w jakim języku. Odpowiedzią na takie traktowanie było powstanie na przełomie XIX i XX wieku Polskiego Narodowego Kościoła Katolickiego w Ameryce i Kanadzie. Byłem i jestem wielkim zwolennikiem tego kościoła. W Chicago przez wiele lat przyjaźniłem się z niezręcznym już księdzem Czesławem Janem Polakiem, którego bardzo wysoko sobie ceniłem. Ceniłem, bo chciałem, aby polski katolicyzm w Ameryce nie był tylko źródłem korzyści dla biskupów, ale naszą siłą duchową i patriotyzmu, i powodem do dumy, że jest się Polakiem.

cdn.

